

Agnieszka Urbańska

Fragment powieści *Niespotkanie gorące dni*

Rozdział II

Oczekiwanie

Gorące powietrze kleiło się do skóry jak kłaczkę cukrowej waty. Siedziałem na przystanku autobusowym i wymachiwałem nogami. Trochę się nudziłem. Tego wieczoru nie mogliśmy z Chrabąszczem pokręcić się po ulicach miasteczka. Do mojej koleżanki przyjechała dawno niewidziana ciocia z Gdańska.

Tak sobie tkwiłem w jednym miejscu od ładnych paru minut. Teraz nikt nie narzekał, że dzieciak od Domańskich włóczy się sam. Wszyscy pochowali się w domach i pozasłaniali okna roletami. W jednym z mieszkań w pobliskim budynku dawnej stacji kolejowej dźwięczał telewizor.

Spojrzałem na ekranik telefonu (nie miałem wypasionego smartfonu, lecz starszy model). Mamie zależało, żeby mieć ze mną stały kontakt: przypominać na przykład o zabranii kanapek do szkoły, wypiciu syropu, posprzątaniu na biurku. Od jakiejś godziny Rodzicielski Organ Kontrolny milczał.

W spokoju mogłem więc zająć się wyobrażaniem. Zacisnąłem powieki i zastanawiałem się, kto wysiadzie z autobusu z Wrocławia. Wystarczyła chwila, by w mojej głowie zjawiała się gromadka różnych postaci. Ciemnoskóra kobieta z wielkim afro, złotymi kołami w uszach i koronkową parasolką w ręku. Eskimos w kąpielówkach i japonkach, zamiast walizki taszczący przenośną lodówkę na kółkach i zrolowane futro, obwiązane sznurkiem pakowym. Goryl z wielkim apetytem zajadający banany, po które sięgał do płóciennej torby w słoneczniki. Był tam jeszcze policjant przecierający spocone czoło różowiutką chusteczką do nosa. Wydawało mi się, że przez sekundę widziałem twarz starszej pani. Tej samej, która obawiała się, że popadnę w tarapaty, jeśli będę bez nadzoru paradować po miasteczku. Na końcu odwiedził mnie król. Wysoki, barczysty, opalony. Na ramiona spływały mu siwe, srebrzące się w słońcu włosy, które blaskiem prawie dorównywały złotej koronie z wielkim czerwonym kamieniem pośrodku. Było gorąco, to oczywiste, że mężczyzna nie miał zarzuconej na ramiona peleryny z mięsistego materiału wyhaftowanego mieniącymi się nićmi.

Jego strój, poza koroną, niczym nie zaskakiwał. Zwykle szorty, wypłowiała koszulka na ramiączkach, o którą zaczepił okulary przeciwsłoneczne. Sandały wyglądały na porządne, bo były skórzane, na grubej podeszwie. Jednak pokrywał je kurz. Pewnie z licznych dróg, które zdążył już przemierzyć srebrnowłosa monarcha.

Gdy spojrział na mnie, nie poczułem się jak nic niewart pyłek. Wprost przeciwnie, to spojrzenie dodało mi radości i mocy. Delikatnie zaswędziały mnie stopy, jakby muśnięte ptasim piórkim. Już byłem gotów z entuzjazmem powitać niezwykłego przybysza, gdy usłyszałem:

– Królu Maciusiu, halo, halo! Tu ziemia!

Potrząsnąłem głową i z żalem pożegnałem władcę, który w mojej wyobraźni stawał się coraz wyraźniejszy i potężniejszy.

Nade mną pochylała się babcia Nina. W jej oczach dostrzegłem troskę.

– Skarbie, nic ci nie jest? Jak się czujesz? Oby to nie był udar cieplny... Jesteś w stanie policzyć do trzech? Możesz wstać i pójść ze mną do domu?

Poderwałem się z ławki.

– Cześć babcia! – rozejrzałem się dookoła. Z tego babcinego określenia „królu Maciusiu” chłopaki by się nabijały. Poza tym z liczeniem nie mam problemów, choć za matematyką specjalnie nie przepadam. – Czuję się dobrze. Przecież człowiek czasem może się zamyślić. Wyobraziłem sobie – zmyślałem – że na naszym przystanku zatrzymał się autokar wiozący polską reprezentację. Najpierw wysiadł Lewy, potem Błaszczkowski, Krychowiak, Szczęsny...

Babcia zareagowała na wyliczankę śmiechem.

– Co za pomysł, mój kochany! Ale ja w twoim wieku też fantazjowałam z całych sił. Nawet rozkręciłam radio, bo chciałam uścisnąć dłoń krasnoludkowi, który według mnie mieszkał wewnątrz odbiornika.

Oboje się roześmialiśmy. Babcia Nina jak zwykle przyjechała z prowiantem. Poza tradycyjną torbę na kółkach, wypchaną do granic możliwości, przytaszczyła jeszcze kosz z papierówkami i coś brzęczało w okolicach jej ramienia. Płócienne torbiszczę z nadrukowanym napisem „Seniorzy siłą społeczną” skrywało pewnie słoiki z czymś smacznym.

Babcia była energiczna i radosna. Mieszkała w sąsiedniej miejscowości i często nas odwiedzała. Musiała przyjechać busem z przeciwnej strony, a ja tego nie zauważyłem, bo tak

intensywnie wyobrażałem sobie króla w sandałach. Może skorzystała z okazji i zabrała się z jakimś sąsiadem czy sąsiadką.

– Zgadnij, co dla was przygotowałam! – pogłaskała torbę-szmaciankę.

– Pulpeciki w sosiku? – zapytałem z nadzieją.

– Tak, dodałam czosnku do pomidorów, jak lubisz. Ale mam coś jeszcze.

– Jakiś ciuch?

– Bluzę na promocji wypatrzyłam fajną, przyda ci się do szkoły. Jednak to nie wszystko. Przywiozłam coś specjalnego.

Babcia Nina miała tajemniczą minę. Powiedziała, że niespodziankę zobaczę w domu. Ruszyliśmy w stronę centrum miasteczka. Ciągnąłem bagaż na kółkach, trochę stękając, bo do najlżejszych nie należał. Wkrótce natknęliśmy się na mężczyznę, który pochylał się nad grządkami w przydomowym ogrodzie.

– Dzień dobry, panie Romanie! Susza dokucza, przydałby się deszcz – odezwała się babcia.

– Aaa, dzień dobry! Tak, sucho piekielnie. I jeszcze mszyce wylęgły się w nadmiarze. Pełno tego na krzakach, drzewkach, trawie, fuj... – właściciel ogródka skrzywił się okropnie. Zaraz dodał – Te mszyce to jakieś giganty – pokazał dłońmi wielkość żarłocznych stworzeń. Chyba przesadził. To były rozmiary Przecinka, przypominającego jamnika pupila Małgośki.

Właśnie, właśnie, robactwo to coś dla niej – pomyślałem.

– Tak to już jest z naturą. Potrafi nas zaskoczyć – przyznała babcia.

Chwilę później, gdy już pożegnaliśmy pana Romana, zmartwionego ilością mszyc, zadałem pytanie:

– Czy szykuje się jakaś katastrofa ekologiczna albo klęska klimatyczna?

Babcia przystanęła na moment i spojrzała na mnie z troską:

– Maćku, skąd znasz takie słowa?

– Obiły mi się o uszy, pewnie w telewizji ktoś tak powiedział.

– To dla mnie za trudne pytanie. Nie mam fachowej wiedzy, choć widzę, jak dużo zmieniło się w przyrodzie. Tak upalne lato to coś dotychczas niespotykanego. Jednak dziś jest gorąco, a jutro pogoda może nas zaskoczyć. Prognozy przewidują gwałtowne burze. Trudno mi, prostej kobiecie, to wszystko ogarnąć.

– Taaak? – zdziwiłem się, bo uważałem, że babcia jest w stanie znaleźć sposób na najróżniejsze kłopoty: plamę z tłuszczu na dywanie, cieknącą rurę w łazience i przemakające buty zimowe.

– Kochany wnuku, najważniejsze, żeby ludzie byli dla siebie dobrzy, życzliwi, przyjaźni – usłyszałem.

Za kilka minut już byliśmy w domu. Wkrótce wróciła mama z dyżuru i przyjechał Krzysiek.

– Tralala, mądralo – zwichrzył mi grzywkę, którą rano układałem chyba z godzinę. Nawet upał jej nie naruszył, za to starszy brat poradził sobie z tym ekspresowo.

Siedzieliśmy przy stole w ogrodzie, pod sędziwą gruszą, która podobno pamiętała jeszcze poprzednich gospodarzy. Popijaliśmy schłodzoną wodę mineralną z listkami mięty oraz plasterkami cytryny.

Zadowolony zabułgotałem przez rurkę. Zimny napój, wymoszczony poduchą plastikowy fotelik, cień ogrodowych drzew i nawet bardzo delikatne powiewy wiatru – pełnia szczęścia.

No i coś jeszcze, bo za chwilę usłyszałem:

– Niespodzianka!

Babcia podała mi papierową, pasiastą torebkę. Zajrzałem do środka. Dostałem trzy książki: *Podróż za jeden uśmiech*, *Stawiam na Tolka Banana* i *Uwaga! Czarny parasol!* Wiedziałem, że nie ma w nich mowy o smokach, rycerzach, władcach toczących wojny, odległych krainach i spotkaniach z dzikimi zwierzętami, ale szczerze się ucieszyłem.

– Z babcią wyszukałyśmy je w internetowych antykwariatach – powiedziała mama.

– Odjazd! – stwierdziłem, przerzucając kartki. W każdej z książek był autograf, a w jednej nawet dedykacja: *Odkrywcom nieznanym lądów tuż, tuż, obok nas, szczęścia na każdym kroku życzą panowie B. – Tolek Banan i Adam Bahdaj.*

Z radości tak machnąłem nogami, że wywróciłem się razem z ogrodowym fotelem.

– Maćku! – przestraszyły się mama i babcia.

– Nic mu nie będzie. Każdy sportowiec musi upaść choć raz – powiedział Krzysiek i wyszczerzył zęby, pomagając mi podnieść się z ziemi.

Krzychu trochę przesadził. Sportowcem na razie nie jestem. Lubię grać w piłkę nożną, ostatnio nauczyłem się nurkować i gdy pan Gwizdek zabrał naszą klasę na ściankę wspinaczkową, bardzo szybko zdobyłem szczyt. Od jakiegoś pół roku trenuję czytanie coraz dłuższych książek. Na początku mocno się niecierpliwiłem. Przeczytałem stronę i już chciałem wiedzieć, jak zakończy się historia, czy bohater (albo bohaterka) poradzi sobie z przeciwnościami losu. Teraz staram się towarzyszyć książkowym postaciom we wszystkich przygodach. Powieści Bahdaja polubiłem, bo bardzo spodobał mi się serial *Wakacje z*

duchami. Kiedyś na bazarze, wśród starych komiksów oraz figurek z obtłuczonymi nosami, wyszperałem egzemplarz *Kapelusza za 100 tysięcy*. Tymi książkami z antykwariatu babcia i mama zrobiły mi miłą niespodziankę. No i jeszcze słowa napisane ręką autora. Długopisem albo piórem... Super!

Gdy po wszystkich emocjach wieczoru znalazłem się w swoim pokoju na piętrze, padłem na łóżko. Wcześniej ostatkiem sił umyłem zęby i ochlapałem twarz zimną wodą. Uszy, szyję i nogi zostawiłem na rano. Rzuciłem szorty na krzesło. Zawisły na oparciu, przypominając banderę piracką na statku złoczyńców.

– Hejo, hejo – wyszeptałem, przytulając policzek do poduszki. Zanim zasnąłem, zdołałem unieść głowę i wyrzucić przez okno. W ciemnościach rysował się znajomy kształt Bramy Dolnej. Jednak zaraz w świetle latarni dostrzegłem więcej niż tylko fragment murów obronnych. Wysoka postać, srebrzyste włosy, leciutko pochylone plecy... Korony z drogocennym kamieniem nie zauważyłem. Ale udało mi się wypatrzeć z prawej i lewej strony ciemnej sylwetki dodatkowe kształty. Jakby głowy i ręce. Czyżby tajemniczy ktoś dźwigał dwoje dzieci? To jakiś bezdomny ojciec przemierzający nocą moje miasteczko i szukający schronienia? Może ukradziono mu namiot albo nie stać go na nocleg w tutejszym hotelu szczycącym się strefą SPA?

„Zapraszam, służę gościna!” – spróbowałem krzyknąć. Jednak tylko wychrypiałem ze dwie sylaby i zasnąłem. Krzysiek powiedział potem, że moje chrapanie przypominało wystrzały ze średniowiecznej armaty.